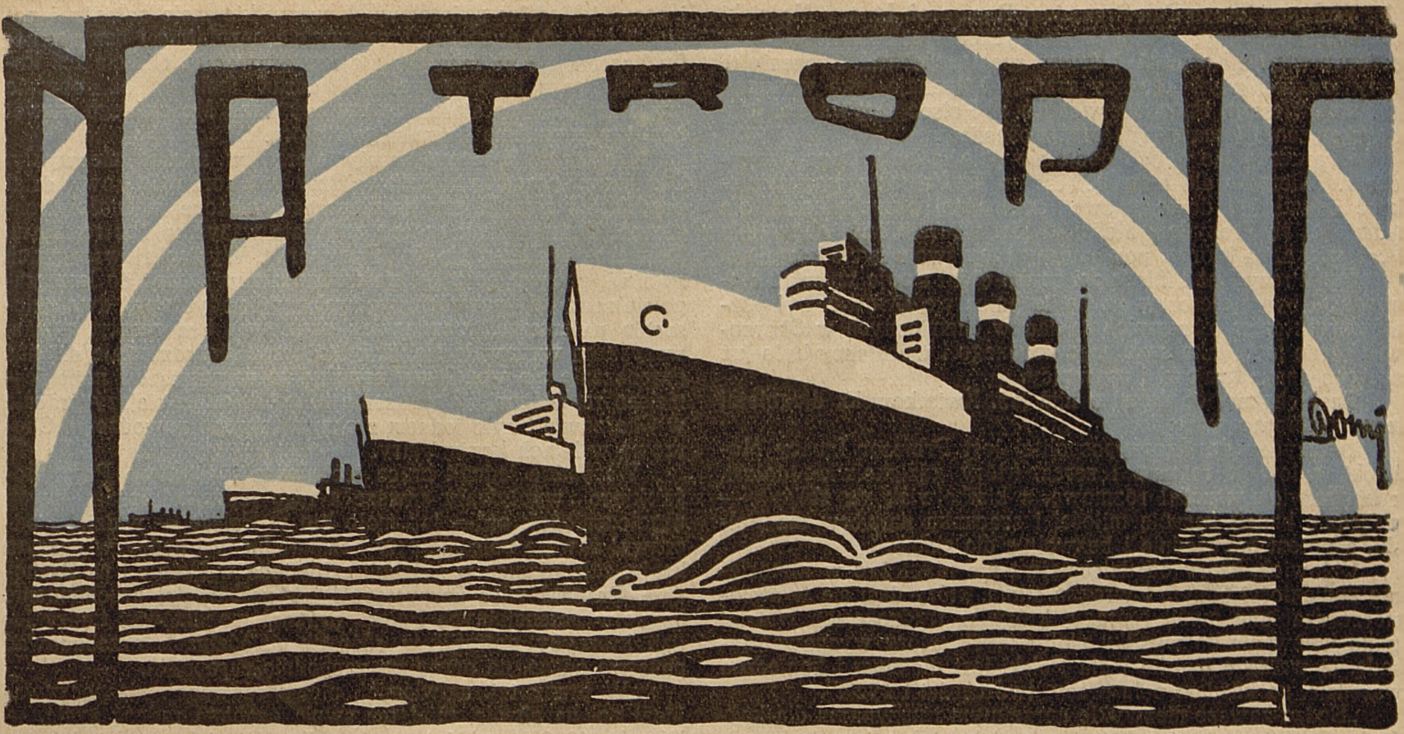
Rok VI. Katowice, dnia 10 lutego 1933 r. Nr. 3.



PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Wychodzi
10-go i 25-go każdego miesiąca

GEN. MARJUSZ ZARUSKI.

W ROCZNICĘ.

Wszelkie rocznice mają dla narodów doniosłe znaczenie Warunki życia współczesnego nie sprzyjają kontemplacji, nie zachęcają do analizy przeszłości i spokojnych filozoficznych rozważań na tematy przyszłości Naprzód i naprzód w nieznaną drogę, byle prędzej! temi słowy można byłoby scharakteryzować ogólne psychologiczne nastawienie społeczeństw dzisiejszych.

Rocznice zmuszają nas do chwilowego przerwania biegu i zastanowienia się nad tem co działo się wczoraj, sto, czterysta lat temu, co myśleli i czuli ówcześni ludzie, biorąc udział w rozgrywających się przed nimi zdarzeniach, decydując się na te lub inne posunięcia. Łączą nas one z przeszłością, uprzytomniają nam, że nie jesteśmy zabłąkanymi wędrowcami, którzy nie wiadomo, skąd przyszli i dokąd zmierzają, lecz świadomymi swych celów pracownikami, którzy chcą i muszą iść po obranej drodze zmieniając jej kierunek odpowiednio do zmieniających się warunków terenu. Są one jakgdyby błyszczącemi gwiazdami, tkwiącemi w mrokach przeszłości, na których zawieszona jest nić życia ludzkiej gromady, mającej w charakterze i pragnieniach swoich silnie zaznaczone cechy wspólnoty.

Dzień dzisiejszy wskazuje nam jedną z takich gwiazd w sklepieniu nad morzem.

Po raz — trudno odpowiedzieć który — wróciliśmy na brzeg morski.

Tym razem nie jako do przedmiotu układów politycznych lub wojennych, lecz na zasadzie sprawiedliwości dziejowej, która przebudowała świat po kataklizmie wielkiej wojny.

I aktu tej sprawiedliwości wyrzec się już nie możemy; nie pozwolimy ani odebrać sobie, ani położyć go na szalę kupieckich przetargów.

Cóż Wy — młodzież harcerska, sposobiąc się dziś do tego, ażeby za lat parę stanąć w szeregach wędrowców — pracowników dziejowych idących gromadą ku swojemu celowi, uczynić możecie? wy, nie mający jeszcze stanowisk społecznych, ani prawa egzekutywy?

Bardzo wiele.

Przedewszystkiem — wychować samych siebie na przyszłych pracowników morza.

> *W dniu dzisiejszym Polska obchodzi uroczyście 13-tą rocznicę odzyskania dostępu do morza. Ten skromny skrawek bałtyckiego wybrzeża, to nasza droga w szeroki świat — jedyna, która pozwala na swobodną z innymi wymianę dóbr kulturalnych i materjalnych.*
>
> *Przekonani o tem, że posiadanie dostępu do morza jest jednym z najważniejszych warunków istnienia Państwa Polskiego, w trzynastą rocznicę odzyskania wybrzeża, my, młodzież harcerska, posyłamy ziemi Pomorskiej i falom polskiego Bałtyku okrzyk:*
>
> *Jesteśmy jednej krwi z wami!*
>
> *Czuwamy!!*

Po drugie budzić i uświadomić śpiące. Ogłosić im wielką nowinę.

I jedno, i drugie wymaga ogromnej pracy.

Wychować samych siebie — to znaczy: poznać smutne dzieje naszego stosunku do morza, obojętności narodu względem spraw morza, poznać dzieje narodów żeglarskich, poznać wreszcie morze. Samym stać się żeglarzami morskimi.

Albowiem prawdą jest, że tylko żeglarz choćby przygodny, choćby czasowy może zrozumieć i ukochać morze. Żaden pasażer „Polonii", czy „Normandji" nie jest zdolny do tego.

Pływajcie zatem sami na kajakach, potem na dziesiątkach, potem na jachtach morskich. W tym „królewskim" sporcie poczujecie się królami świata.

Budźcie śpiące. To znaczy: głoście chwałę morza tym, którzy go nie znają, sprowadzajcie filmy morskie, urządzajcie wykłady o żeglarstwie, o morzu, o jego życiu — urokach i niebezpieczeństwach, o jego przyrodzie i o ludziach morza.

Tylko tą drogą — żywego przykładu i słowa — zdołacie wzbudzić śpiące w masach uczucie. Uczucie wywoła pragnienie, pragnienie zaś wolę i czyn.

Ze zbiorowego czynu powstanie nowa Polska, nie lękająca się wysiłków pracy na morzu. Polska — mocarstwo, sąsiadująca o miedzę nie z kilku narodami na lądzie, lecz ze wszystkiemi — dosłownie wszystkiemi — narodami świata.

Przez morze.

IMIENINY PANA PRZEYDENTA.

W dniu 1 lutego Pan Prezydent Rzp., prof. Ignacy Mościcki obchodził imieniny. Składali mu życzenia członkowie Rządu, przedstawiciele Kościoła i całego społeczeństwa. Życzenia te były szczere, gdyż wszyscy szanują i kochają tego wysokiego, siwowłosego Pana, pierwszego w Polsce Obywatela, który reprezentuje majestat Rzeczypospolitej.

I harcerze nie minęli obojętnie dnia imienin Pana Prezydenta. Nietylko dla tego że jest on ich Protektorem i wielokroć dawał już dowody swej serdecznej przychylności ale i dlatego, że Prezydent Mościcki jest wzorem cnót obywatela i człowieka, na którym powinniśmy i my swoje życie kształcić!

Pan Prezydent I. Mościcki zanim objął swoje wysokie stanowisko, był profesorem na politechnice we Lwowie, był później dyrektorem olbrzymich zakładów chemicznych w Chorzowie. Imię jego, jako świetnego uczonego i wynalazcy było już szeroko znane krajowi i zagranicy.

Posłuchajmy, co mówi o nim inż. Kwiatkowski, długoletni jego współpracownik:

„Prezydentem Rzeczypospolitej jest Profesor Ignacy Mościcki człowiek rozumu i serca, który gdziekolwiek dotarł, z kimkolwiek wszczął rozmowę, z kimkolwiek się zbliżył, — wszędzie budził uczucie miłości i szacunku najpierw dla Polski, a potem bezwiednie i bezwolnie dla siebie.

Człowiek, który od dzieciństwa nie mógł żyć w atmosferze podległości obcym i wrogim siłom, który dusi się w atmosferze szablonu myśli i pracy, który w trudnościach widział tylko wyzwanie do wysiłku woli i myśli, który wyznawał zasadę, iż walka o Polskę i dla Polski jest możliwa i konieczna wszędzie, na każdem polu pracy twórczości i życia".

„Będąc zawsze niezwykle uprzejmym i uczynnym dla każdego, dla najmniejszego nawet człowieka, jak o tem doskonale wiedzą robotnicy śląscy, był dla siebie samego twardym i surowym Pan Profesor Mościcki, dziś Prezydent Rzeczypospolitej".

„Od samego początku pobytu w Chorzowie, mawiał Prof. Mościcki do nas, swoich współpracowników: „dla państwa i przedsiębiorstw państwowych wszystkie moje patenty i nowości stoją do dyspozycji, całkowicie bezpłatnie i bez potrzeby liczenia się ze mną lub mojemi prawami". Obficie też korzystaliśmy z tego zezwolenia, coraz śmielej, aż obecnie stwierdziliśmy, że stosujemy metody Prof. Mościckiego, nawet bez zawiadomienia formalnego Autora.

Wynalazki te powstawały nieraz w sposób niezwykły. Oto naprz. przed laty budowaliśmy w Chorzowie nowy dział produkcji i natrafiliśmy na nieprzezwyciężone trudności techniczne. Wykonaliśmy szereg prób ale wszystko bez rezultatu. Wówczas udaliśmy się do „Profesora". Wysłuchał wszystkich założeń, poczem pojechał na dwugodzinny spacer do lasu, zupełnie sam. Gdy powrócił, wezwał nas i podyktował dwa zgłoszenia patentowe, rozwiązując problemat bez reszty, a nam wszystkim wydawało się, iż tylko przez niezrozumiałe dla nas przeoczenie nie wpadliśmy sami na to najprostsze i najlogiczniejsze rozwiązanie. Urządzenie to po dzień dzisiejszy pracuje w Chorzowie i było jednem z ogniw dobrego powodzenia Chorzowa w latach konjunktury.

Wszystkie jednak prace techniczne i naukowe Prof. Mościckiego wypływały zawsze z tego jednego źródła myśli uspołecznionej: on — jak mało kto w Polsce — widział i odczuwał zawsze boleśnie cały bezmiar biedy i nędzy w naszym kraju, całą różnicę w sytuacji człowieka w Polsce i na Zachodzie. Pragnął więc uprzystępnić jak najbardziej uruchomienie bogactw potencjalnych Polski, pragnął mobilizować kadry ludzi, którzyby potrafili w różnych dziedzinach przebudować państwo nasze, na organizm zachodnio-europejski."

„W pracy tej, ustwicznej, niezmordowanej, niespoczywającej ani na chwilę, miał też swoją osobistą radość życia. — W roku 1926-ym, oddając się całkowicie i bezapelacyjnie na wysoką służbę Rzeczypospolitej musiał się wyrzec i tego przywileju".

HARCERZU! Zapatrz się w postać swego P r o t e k t o r a i swój szacunek dla niego okaż we wzorowanej na nim pracy nad sobą, w pracy dla dobra Polski.

Na harcerskim szlaku.

PIERWSZĄ MORSKĄ WYSTAWĘ FOTOGRAFICZNĄ organizuje I. Morska D. H. w Gdyni w porozumieniu z Komitetem Obchodu 13-tej rocznicy odzyskania Pomorza. Otwarcie wystawy nastąpi 26-go lutego. Złożą się na nią: zdjęcia z następujących działów: 1. Morze, 2. Wybrzeża, 3. Porty 4. Miasto Gdynia, 5. Turystyka morska. (M. B.)

„SYLWESTER HARCERSKI" zorganizował zastęp „Jeleni" 23 Zagłębiowskiej D. H., przeznaczając dochód z niego na budowę sceny. Drużyna ta lubi się bawić, gdyż oprócz sylwestra urządziła również choinkę z tańcami i wzięła gremjalny udział w choince Hufca. (Nie wątpimy że „Jelenie", „Charty", „Orły" i „Wilki" są również skore „do różańca", jak i do tańca). (B)

„REZULTAT WSPANIAŁY" dochód dawno tu nie notowany (944 zł), zainteresowanie olbrzymie, zachwyty jeszcze większe, a radość harcerzom największą przyniosła hufcowi w Hrubieszowie „Szopka Hrubieszowska". Duszą całej imprezy był p. Chrzanowski, a wielką pomoc przynieśli przyjaciele harcerstwa. (Gr.)

SPECJALIZACJA w różnych działach harcerskich, jest systemem pracy drużyny ż. w Inowrocławiu. Zastępy przeprowadzają oczywiście cały program harcerski, ale jednemu z działów poświęcają się specjalnie. (jakie to są działy? — Przyp. Red.). Zastęp „Jaskółek" jest w tej drużynie najstarszy i rok rocznie obchodzi wspólnie gwiazdkę. Tego roku urządził sobie zbiórkę o wpół do dwunastej w nocy i wspólnie wybrał się na pasterkę. (M. G.).



2 tysiące młodzieży harcerskiej przeszło podczas zimowych wakacyj przez obozy, kursy i wędrówki. Cyfra to ogromna, jeśli się zważy, że to dopiero początki naszej akcji zimowej. Niestety w okresie świątecznym śnieg niedopisał. Dopiero w drugiej połowie stycznia zima zakleła świat w bajeczną szatę śnieżną. Ciepły wiatr zniszczył ją jednak bardzo prędko i dziś, żeby zobaczyć śnieg — trzeba popatrzeć na obrazek.

ZNANA SZEROKO na terenie Warszawskiej Chorągwi 40 W. D. H., do szedłszy w swym rozwoju do liczby ok. 280 członków i 5 środowisk, objętych pracą rozdzieliła się ostatnio na dwie samodzielne drużyny: „Błękitną" i „Złotą" rozpoczynając tem proces, który zakończy się zapewne powstaniem 4 samodzielnych drużyn. W czasie 6-lecia ubiegłego od bohaterskiej śmierci Drużynowego i Patrona Drużyny ś. p. M. Bema, drużyna urządziła 15 obozów, w tem 3 wędrowne, 1 wodny 2 kursy zimowe, i obóz zlotowy, wychowała gromadę starszych chłopców, 8 podharcmistrzów i stała się ośrodkiem pracy Wydziału Drużyn Szkół Powszechnych, którego kierownictwo, podobnie jak kierownictwo Wydziału Zuchów chorągwi pozostaje w rękach Instruktorów Czterdziestki. Obie Czterdziestki, Błękitna i Złota są w jak najlepszej formie. (J. D.)

STRZEMIESZYCE urządziły swą choinkę 31 grudnia przy udziale licznych gości, urozmaiconą popisami zastępów i muzyką własnej orkiestry. Na przełomie starego i nowego roku 7-miu harcerzy złożyło przyrzeczenie. Nastrój tej uroczystości był tak głęboki, że zostanie ona długo w pamięci uczestników. Wizytacja, jaka odbyła się w strzemieszyckiej drużynie z początkiem stycznia, wykazała należyty poziom pracy.

(Migdał Buntownik).

„GOŁĘBIE" 28-ej Zagłębiowskiej D. H pragną nawiązać korespondencję z „Gołębiami" innych drużyn. Myśl ta zrodziła się na choince drużyny, podczas której „Gołębie" wraz z „Żeglarzami" składali przyrzeczenia. (U)

ZOFJA SZATKOWSKA
(Kossak-Szczucka).

S. O. S.

6)

Gdy wchodził do bogatych restauracyj, świątyń smakoszostwa i chyląc swą czcigodną postać ku siedzącym przy stolikach sytym bogaczom, prosił przejętym łagodnym głosem o pomoc dla biednych dzieci w imię Chrystusa Pana, przyjaciela maleńkich, o znikomą pomoc, o jeden procent tego, co miał wynosić ich restauracyjny rachunek tego wieczoru, o setną część wartości tego, co zjedli, — gdy podchodził do próżniaczych, wymalowanych kobiet, siedzących w cukierniach, i zaklinał, by dały bodaj cenę jednego ciastka, one, które zjadły ich tyle, — jakże rzadko uzyskiwał spełnienie tej tak skromnej na pozór prośby! Ileż razy wychodził stamtąd z pustą puszką, a policzkami pałającemi od upokorzenia i wstydu, — wstydu, nie za siebie, zaprawdę!

A schodziwszy w ten sposób wiele ulic, wiele pięter, nie dziw, że wracał do domu znużony do tyla, że ani mu w głowie postało przyglądać się dłużej i dziwić nieruchomości swoich lokatorów.

Rozdział 5.

Już po raz trzeci Tomasz Rudnowski rzucał w przestrzeń, w kłębowisko świata, mąt ludzkich spraw, walk i poczynań, żałosne wołanie o pomoc dla Adasia sieroty. Jak dotąd napróżno. Wśród powodzi listów kierowanych do „Wuja Toma“ brakło wciąż głosu człowieka chętnego zająć się opuszczonym chłopcem. Ciężkie czasy, kryzys... Tu zaś chodziło o rzecz ważniejszą niż ofiarowanie pary znoszonych trzewików, lub ubrania, z którego dziecko wyrosło. Tu chodziło o wzięcie całkowite chłopca, obciążenie się jego losem, obarczenie odpowiedzialnością za przyszłe jego koleje. I chętna zazwyczaj, żywo reagująca na każde wezwanie rzesza radjosłuchaczy milczała.

— Tracę już nadzieję, by się coś dla tego biedaka dało wykołatać... — zwierzał się Radnowski siostrze swej Jadzi, któregoś wieczoru, gdy harcerka przyszła go odwiedzić w studjo. Siedział na zwykłem swem miejscu przed mikrofonem, sygnały świetlne po jednej stronie, telefon po drugiej, głośnik z tyłu nad drzwiami (w tej chwili muzyka transmitowana z centrali), niby władca tajemniczego państwa dźwięków i głosów. Kręcił głową frasobliwie. Jednakże państwo jego nie było tak rozległe, skoro nie znajdywał się w niem ani jeden człowiek mogący i chcący zaopiekować się opuszczonem dzieckiem.

— ...Ciężko jest pomyśleć, jak to biedactwo czeka tam na odpowiedź, a my mu jej dać nie możemy... ciągnął.

— Czy nie moglibyśmy **my** dla niego coś zrobić? — zagadnęła Jadzia, miętosząc w palcach koniec barwnej krajki.

— Myślałem o tem od początku.. Ale jak? Nie prowadzimy właściwie domu. Każde z nas jada oddzielnie i w innych godzinach... Cały dzień nie ma nikogo w mieszkaniu. Dziecko musi mieć opiekę i unormowany bieg dnia...

— Moglibyśmy złożyć się na pewną sumę, którą płacilibyśmy komuś miesięcznie za niego.

— To byłoby możliwe, byle znaleźć kogoś odpowiednio pewnego, któremu możnaby chłopca powierzyć z całem zaufaniem, na razie nie widzę nikogo takiego. A ty?

— Ja też, ale to dlatego, że się jeszcze nad tem nie myślało. Napewno znajdziemy, gdy zaczniemy rozglądać się z określonym zamiarem... Jak przypuszczasz, wiele trzebaby przeznaczyć miesięcznie na ten cel?

— Sądzę, że sześćdziesiąt złotych, — obliczał głośno Radnowski, — do tego co pewien czas dodatki na ubranie... Ale zasadniczo sześćdziesiąt złotych... Gdyby każde z nas złożyło się po dwadzieścia złotych, nie przyszłoby tak ciężko, co?

— Nie myślisz, Tomku, że lepiej, jeśli my oboje damy po trzydzieści?

— A nasza „światowa dama“ nic? Dlaczego?

— Kocie nigdy nie wystarcza dla niej samej, — pożycza stale odemnie...

— Bój się Boga! ma pensję o czterdzieści złotych większą od ciebie!

— Ale większe wydatki, — stwierdziła pogodnie Jadzia.

Tomasz obrócił się w fotelu i spojrzał na nią bystro.

— Niby jakie? Powiedz odrazu, że wyrzuca wszystko na szmatki!

Siostra milczała lojalnie. Brat ciągnął z rozdrażnieniem:

— Dawno już uważam, że powinno się na nią wpłynąć... Zostawiamy jej zbyt wielką swobodę, do której, jak wynika, nie dorosła, choć jest starsza od ciebie... Zdumiewa mnie nieraz, że człowiek myślący może równie bezmyślnie i próżniaczo jak ona spędzać życie...

— Pracuje przecież w biurze...

— Cóż stąd? Pracuje, bo musi... Odrabia zajęcie jak pańszczyznę. Ale pozatem? Co robi? O czem myśli? Czem się zajmuje? Jeżeli czyta, to głupie powieści, koniecznie sensacyjne... Jeżeli mówi, to o szmatach lub gwiazdorach! Jeżeli marzy, to o dancingu... Z przerażeniem nieraz myślę, co będzie, jeżeli zacznie robić znajomości na swoją rękę...

Ładne one będą... Dopieroż zaczną się sypać na nas zmartwienia!

— A właśnie... — zaczęła Jadzia z wahaniem.

Muzyka umilkła. Tomasz dał znak siostrze, by była cicho, włączył mikrofon i spokojnym dźwięcznym głosem zapowiadał dalszy ciąg programu. Znieruchomiała na krześle harcerka, patrzyła nań z ciekawością. Zawsze jednako zdumiewał ją i oszołamiał przedziwny fenomen radja, fakt wszechobecności głosu. Oto przed chwilą rozmawiali tu sobie z Tomaszem o swoich najosobistszych sprawach, tak doskonale izolowani od reszty świata, tak zabezpieczeni przed czyimkolwiek podsłuchem przez ciężkie czerwone kotary. A oto nieznaczne przesunięcie ledwo zauważalnego guzika i cały świat może słyszeć ich najcichszy bodaj szept.

Jej mimowolne chrząknięcie, szelest poruszonych na biurku papierów doleci uszu słuchaczy, oddalonych o tysiące kilometrów. Przepłynie nad oceanem niezagłuszony przez huk fal. Wśród straszliwej wrzawy wielkiego miasta dotrze wyraźny i czysty, choć tak wątły. A cóż będzie, gdy niebawem w ślad za głosem pójdzie obraz, gdy telewizja będzie równie udoskonaloną jak radjo? Czy nie jest cudownem, lecz zarazem przerażającem skasowanie odległości? A jeżeli można dowolnym rozkazem pchnąć w przestrzeń obraz i dźwięk, to czemu nie miałaby z niemi podążyć woń? W rozpłakaną jesienną szarugę, gdy zmysły są chore z tęsknoty za latem i słońcem, wystarczy nastawić aparat, by zobaczyć kwitnące gaje południowe, poczuć ich zapach... Czyż jakakolwiek bajka wymyśliła podobne temu czarodziejstwo!?

— Co zaczęłaś mówić? — zapytał Tomasz, wyłączywszy ponownie zaciszne studjo z reszty świata.

Jadzia ocknęła się z marzeń.

— O czem?... Aha, o tem... ale kiedy... nie wiem czy powinnam to powiedzieć?

— Naturalnie, że powinnaś, — odparł z rozdrażnieniem. — Rozumiem o co ci chodzi: nie chcesz mówić czegoś złego o Kocie. Oceniam tę dobrą intencję. Ale konsekwencje jej mogą być najgorsze. Polityka ukrywania nie dała jeszcze nigdy dobrych skutków.

— Powiem wszystko, — decydowała się Jadzia. Otóż Kota chodziła zawsze dawniej do tej swojej przyjaciółki Funi, pamiętasz tej z wyskubanemi brwiami, z której żartowałeś kiedyś, że taka niemądra... Z Funią razem szły do kina albo na spacer... teraz ona po dawnemu mówi mi, że idzie do Funi, ale... jej tam niema!

— O do licha! Skąd wiesz?

— Bo spotkałam wczoraj Funię na ulicy i pytała mi się, czy Kota nie chora, bo już jej więcej jak dwa tygodnie nie widziała...

— O, niedobrze! I co dalej?

— Nic dalej. Więcej nie wiem.

— Kocie nie mówiłaś?

— Nie. To tak jakoś przykro i wstyd...

(D. c. n.)

DRUHNY! CZY PAMIĘTACIE, ŻE 22-GO LUTEGO, W DNIU URODZIN LORDA I LADY BADEN POWELL, — SKAUTKI CAŁEGO ŚWIATA OBCHODZĄ ŚWIĘTO BRATERSTWA? — POKAŻCIE, ŻE I WAM IDEA WSPÓŁPRACY I WSPÓŁŻYCIA WSZYSTKICH NARODÓW JEST DROGA.

MIASTO JAMBOREE NA WĘGRZECH.
Pod tym tytułem wygłosi dr. A. Borsiczky odczyt w radjo Budapeszteńskiem po polsku(!). Odczyt ten będzie miał miejsce dnia 15 lutego br. o godz. 22 m. 45. Wszyscy więc, którzy są szczęśliwymi posiadaczami radja — słuchajcie!

Do numeru niniejszego dołączamy spis rzeczy 5-go rocznika „Na Tropie“ z r. 1932.

Nieszczęście.

Jacek udawał, że uczy się zawzięcie zadanego w szkole wiersza ale wszystek słuch i całą duszę skupił na rozmowie ojca z policjantem.

— Więc napewno nigdzie o nim nie słychać? — pytał ojciec. Telefonował pan do straży granicznej?

— Tak jest, panie przodowniku. Do straży i do wszystkich naszych posterunków w powiecie. Pozatem obszedłem z agentem kilka hal i najwyższych wiosek góralskich — i nikt nic o nim nie słyszał. Jak w ziemię wpadł! Och, będziemy jeszcze mieć z tym krzywonosem kłopotów po uszy, zobaczy pan przodownik.

— Żeby go jasny piorun! — zaklął ojciec Jacka tak gwałtownie, że chłopiec szybko zniżył głowę nad książką. — Przecie to już przechodzi wszelkie granice! Trzy morderstwa i dziewięć włamań — to zbyt dużo, jak na Zakopane. Dziś znów suszył mi głowę komisarz, a starosta telefonicznie aż pienił się. Ale choćbym tydzień nie spał, muszę tego krzywonosa złapać. I gdzie ten łotr przepadł? Przecież ma tak charakterystyczną twarz z tym swoim złamanym nosem, że każdemu łatwo powinien wpaść w oczy.

Zdenerwowanie przodownika policji tak wzrosło, że wstał i szybko począł spacerować po pokoju. Naraz zatrzymał się przed posterunkowym i rzucił rozkaz.

— Zwołaj pan na 17 odprawę. Gruntownie omówimy obławę na tego łotra. Przecież nie sposób czekać dłużej!

Jacek już nie mógł wytrzymać. Oczy mu płonęły ogromem podniecenia we wszystkich mięśniach czuł jakby swędzenie. Siedzenie na krzesełku stało się torturą. Więc wstał cicho i wyślizgnawszy się ostrożnie z pokoju, wybiegł na podwórze. Tam podskoczywszy parę razy do góry dla wyprostowania kości, założył ojcowskim ruchem ręce na plecach i, poważnie pochyliwszy głowę, spacerować począł, jak ojciec w pokoju, szerokiemi krokami.

— Tak — mruczał sam do siebie, starając się to robić jaknajgrubszym głosem. — Z tem raz wreszcie trzeba skończyć. Żeby go jasny piorun, tego krzywonosa — mordercę!

Zabawa w ojca nasunęła nagle Jackowi gwałtowną myśl: a gdyby tak samemu spróbować? Ojciec sobie — a on sobie. Ojciec z policjantami i agentami, a on ze swoją gromadą zuchów. Cóżto czyż nie jest wodzem i czy nie ma w swej gromadzie chłopców na schwał, prawdziwych zuchów? A jeśliby się mu udało wytropić i złapać groźnego bandytę? Boże! Jacka aż zatkało z nadmiaru wrażenia, gdy wyobraził sobie swój tryumf i tryumf gromady. Jaki honor, zaszczyt! Idą oto wszystkie zuchy Krupówkami, a przed nimi związany długim sznurem krwiożerczy drab ze złamanym nosem. Dzwony obydwu kościołów biją na zwycięstwo, całe Krupówki wytrzeszczają zdumione oczy, pan starosta pyta, kto tego czynu dokonał, a pan przodownik — ojciec! dumnie prostuje pierś, ale mówi jakby od niechcenia: „Syn mój, panie starosto!"

Nie! W takiej chwili nie można trwać w bezczynności! Więc choć już wieczór się zbliżał, Jacek pędem wyleciał na ulicę, by zwoływać gromadę na alarmową zbiórkę.

Po godzinie w sąsiednim zapuszczonym ogrodzie niezamieszkałej willi zebrała się cała gromada zakopiańskich zuchów. Mrok był już gęsty, więc wszyscy skupili się blisko wodza, aby go dobrze widzieć. Każdy odrazu wyczuwał że to nie jest zwyczajna zbiórka, że stało się coś ważnego i że wybiła godzina jakichś wielkich czynów. A gdy usłyszeli o krwawym Krzywonosie — postrachu miasta i wszystkich góralskich wsi, gdy dowiedzieli się o tem, że Jacek postanowił razem z gromadą zacząć tropienie bandyty — prąd elektryczny przeszedł wszystkie grzbiety i cicho się zaraz zrobiło, jak na „baczność".

— Nareszcie pokażemy wszystkim, co to znaczą zuchy — kończył Jacek. — Teraz dopiero przekonają się ludzie że nie napróżno ćwiczymy się na zbiórkach.

— No to już! — Chodźmy! Już! — gorączkować zaczęli się co żywsi chłopcy.

— Nie. Najpierw musimy wybrać tych, co się do tej roboty nadają. Całą gromadą nie pójdziemy szukać.

— Czemu? — jęknęło rozpacznie kilkanaście głosów.

Ale wódz powiedział — powiedział! Nie było rady. Trzeba jednak przyznać, że choć wybory „zdatnych" zuchów trwały około godziny, były w najwyższym stopniu sprawiedliwe.

Do wyprawy wybrano dziewięciu zuchów. Dziewięciu rwących się do tajemniczych czynów chłopaków, aż drżało z niecierpliwego oczekiwania na rozkazy. I gdy smutni ich koledzy stali z boku, Jacek, skupiwszy dziewiątkę wydał zarządzenia:

— Dziś wyruszyć nie możemy w żadnym razie. Jutro dopiero. Zaraz po lekcjach. Prędko zjeść obiad, każdy niech weźmie kawał sznura. I broń. Broń bezwarunkowo zabrać.

— Jaką? — spytał Marusarz, który zawsze wyrwać się musiał z niemądrem pytaniem.

— Jakąkolwiek. Ciupagę, scyzoryk. Może łuk i strzały. W najgorszym razie — zróbcie sobie dzisiejszego wieczoru drewniane sztylety. Tylko żeby były ostre.

Już wiele godzin upłynęło od alarmowej zbiórki zuchów i cały jackowy dom spał oddawna. Jacek, tylko targany podnieceniem, wciąż przemyśliwał plan poszukiwań. Gdyż najważniejsza rzecz — to plan. Mądry plan. Bez niego — niema powodzenia.

— Daleko w góry iść nie trzeba, bo chłopcy tam nie zajdą. Zresztą tam napewno szukać będzie ojciec z policjantami. W stronę Jaszczurówki jest straż graniczna; oni też szukają. Na drodze ku Poroninowi i Nowemu Targu — pełno posterunków policyjnych. Ale wśród Regli napewno nikt nie będzie myszkował, bo to blisko miasta i zawsze tam ktoś chodzi. Otóż to! Regle! A bandyta pewnie też myśli, że blisko nie będą go szukać — więc siedzi gdzieś w Reglach. Regle... Regle... szeptały wargi chłopca.

Następnego dnia zaczęły się trudy i przygody jackowej dziewiątki. Rozpoczęto od doliny Strążyskiej. Powoli — powoli posuwały się zuchy naprzód, na pozór zajmując się szukaniem szarotek w istocie zaś — ze zmysłami czujnemi na najlżejszy szmer, najmniejszy ruch, najdelikatniejszą woń. Dwóch po jednej stronie zboczy, dwóch po drugiej. Daleko na szpicy trójka zuchów, posiadających najbystrzejszy wzrok i węch. Jacek w środku, okiem wodza ogarniający całość wyprawy.

„Im wolniej — tem lepiej" — rozumował Jacek. Więc stale zmniejszał krok, nozdrza rozdymał, wciągając chciwie powietrze i wzrokiem szukał jednego tylko — dymu. Czegoś mu się zdawało że zbrodniarz musi siedzieć gdzieś w kryjówce skalnej i grzać się przemarzły na jesiennej wilgoci, przy ognisku. Dym, dym.

— Pobiegnij, Stępka, do Marusarza i powiedz, żeby zajrzał do tej rozpadliny w skale, widzisz?

Biegnie Stępka, a po chwili wraca: niema. A tam za temi kominami granitów? — Niema. Coś tam szarzeje w kosodrzewinie... Nie, to tylko przywidzenie.

Już kończy się dolina, trzeba wracać. Idą jeszcze wolniej. Dłonie ściskają rękojeście scyzoryków, drewniane kindżały sterczą za pasami, oczy myszkują niespokojnie — napróżno. Robić się zaczyna ciemno, szybkiemi krokami nadchodzi wstrętna noc. Trzeba przerwać.

Następnego dnia przetrząsnęli krok za krokiem dolinę Za Bramką. Napróżno. Raz zdało się Stępce, że za wysokim, samotnym smrekiem ktoś stoi, chłopcy przeżyli kilka minut ogromnego napięcia — napróżno. To tylko stał mały świerczek przytulony do wielkiego, strzelistego pnia.

Dnia trzeciego szperali w dolinie Białego, przetrząsnęli Krokiew, aż hen w górę. Napróżno.

Następnym razem ruszyli pod Nosal. Już byli trochę zniechęceni i znużeni. Mniej rozdymali nozdrza, rzadziej zaglądali do rozpadlin i szczelin, nie wyjmowali z kieszeni groźnych noży. Jacek tylko pełen był dawnego uporu, energji i wiary. Przecież ojciec też szuka dzień w dzień i też bezustannie, ale ojciec się nie zniechęca, ojciec się nigdy nie zniechęca. A on będzie gorszy? Jego syn?

— Jacek, Jacek — rozległ się naraz przyśpieszony głos bystrookiego Stępki. — Patrz.

Wszyscy, którzy zalegają z opłatą prenumeraty, nie otrzymają przyszłego numeru!

Jacek skierował wzrok na urwistą, prostopadłą niemal ścianę Nosala — i skamieniał. Dym! Z wąskiej szczeliny jaskiniowej unosił się w górę dym! Och, zbadać, zbadać koniecznie. Może nareszcie trafili na właściwy trop?

Stali w dość dużej kotlinie nad potoczkiem. W górę Nosala piął się las, potem zaś strzelała w niebo prostopadła, olbrzymia ściana muru, w której właśnie była owa tajemnicza jaskinia z dymem. Na znak Jacka szybko i sprawnie poczęli się chłopcy wspinać przez las ku ścianie, aby zbliska obejrzeć otwór. Jeszcze tylko sto metrów tylko trzydzieści.

— Zostańcie tu — mówi Jacek do dziewiątki. Nie może się nas wychylić zbyt wielu. Na zwiady pójdę tylko ja i Stępka.

Po kilku minutach zwiadowcy, zadarłszy głowy, pilnie badać poczęli nosalową ścianę.

— Jak on tam się dostał, do tej dziury? — zdumiał się Stępka. Z dołu zupełnie nie można, bo to płaska ściana jak w kamienicy. I do jaskini będzie od nas ze 20 metrów. Z żadnego boku też nie dojdzie, bo i tu ściana gładziusieńka. I z góry gładziutko.

— Ślepyś? — mruknął Jacek. A nie widzisz, że z góry wisi gruby sznur? Po sznurze się spuścił.

Patrzyli wciąż pilnie w górę, gdy naraz zupełnie niespodzianie wychyliła się stamtąd głowa jakiegoś mężczyzny, który widocznie leżąc na brzuchu, podpełzł do skraju urwiska i gniewnie krzyczeć począł:

— A co wy tu, do licha, robicie? Idźcie stąd precz, smarkacze. Jeszcze was spadające kamienie przygnieść mogą. Precz stąd, wynosić się. Żywo, żywo!

Jackowi serce skoczyło gwałtownie do gardła, a oczy rozwarły się w bezbrzeżnem zdumieniu. Nos! Złamany nos!!

Ten człowiek ma złamany n-o-s. Jacek nie widział twarzy, ani ubrania, ani wogóle nic — tylko nos.

— Ile razy mam gadać? — rozległ się zniecierpliwiony krzyk mężczyzny.

Echo jeszcze nie zdążyło przebrzmieć a już Jacek chwycił Stępkę za rękę i obaj pędem zlecieli na dół.

— Widziałeś?

— O rany!

— Jest, jest — szeptał rozgorączkowany Jacek, gdy wpadli w gromadę pozostałych zuchów. O, Boże — jest. Z krzywym nosem. Marusarz i Bolek — biegiem po policję do miasta. Żeby zaraz przyszli biegiem! Przyprowadzicie sami. Ja ze Stępką lecę na górę, na Nosal, bo bandyta może uciec po sznurze. A reszta niech zostanie tutaj. Wypełznijcie na skraj lasku, pochowajcie się za drzewa i dobrze uważajcie. Gdyby jakimś cudem Krzywonos zlazł na dół — to go zdaleka tropcie i wykryjcie, gdzie się chowa. Ale zuchy, bardzo — bardzo was proszę: starajcie się!

Prośba była zbyteczna. Nikt się lepiej nie postara od nich, od zakopiańskich zuchów. Widać to było z każdej pary oczu.

Jacek ze Stępką pędzili co tchu w piersi. Żeby dostać się na Nosal, trzeba było obejść górę i wdrapać się od strony Kuźnic. Tu, gdzie stali, nad Bystrym potokiem wejście było zupełnie niemożliwe. Tablice turystyczne mówiły, że na Nosal — godzina drogi. Godzina dla przeciętnych ludzi, ale Jacek i Stępka dziś nie byli zwykłymi śmiertelnikami. Serca ich przepełniała groza i wielkość, a kto takie ma serca — dwakroć szybciej porusza nogami.

Po półgodzinnym biegu — byli u celu. Teraz legli na brzuchach i ostrożnie pełzli do krawędzi przepaściowej. Twarze płonęły i tchu brakło w gardłach po ogromnym wysiłku z przed chwili — ale mięśnie w obliczu niebezpieczeństwa były miękkie i podatne do najdelikatniejszych ruchów. Powoli, powoli...

Oto sznur... Powoli, powoli... Przywiązany do pnia... Powoli... Cal po calu wychyla się głowa Jacka — nie widać nic. Mężczyzna pewnie w jaskini. Na sznurze węzły. Żeby łatwiej włazić... A gdyby go wciągnąć w górę? Gdyby wciągnąć sznur do góry?

Jacek nie wahał się ani sekundy. Po myśli - błyskawicy, mignęła błyskawica czynu. Szarpnięcie! I jeszcze! I znów! Sznur był na górze.

— Kto tam, do stu piorunów? — rozległ się głos z jaskini i ku górze wyjrzała twarz. Twarz pełna złości, ze złamanym nosem. — Co za głupie zabawy urządzacie? Gdzie sznur, oddać sznur! — pienił się mężczyzna.



Oddajcie linę łajdaki!...

Jacek i Stępka, drżąc, cofnęli się o parę kroków wtył. Za żadne skarby nie wyjrzeliby teraz ku dołowi. Stępka nawet niedwuznacznie oglądał się za siebie. Siła woli Jacka przemogła jednak przykry lęk. Zostali. Przecież mężczyzna nie może wdrapać się bez sznura na górę! Jest w pułapce! Napewno nie wejdzie bez sznura.

Świadomość bezpieczeństwa napełniła dusze chłopców odwagą. Ostrożnie podpełzli do urwiska. Stępka nawet wyjął z za pasa drewniany sztylet i chwycił go w zęby. Tak przecież zawsze robi się w podobnych sytuacjach.

— Sznur, łajdaki! Spuścić sznur — zaryczał znów mężczyzna, ujrzawszy głowy chłopców.

Milczeli.

— No słuchaj, chłopczyku — zmienił ton człowiek ze złamanym nosem — chcesz dostać złotówkę? Spuść sznur, a dam ci złotówkę. Dwie złotówki. Jedna dla ciebie, druga dla kolegi. Kupicie sobie czekolady. Daj chłopczyku sznur, przecież widzisz, że twój żart jest zły.

Milczenie.

Mijały długie minuty. Minuty, z których każda pulsowała wściekłem życiem.

— H-e-e-e-j! H-o-o-o-p! — doleciały z dołu jakieś głosy.

— Nareszcie, nareszcie — buchnęło z chłopców wyzwolone szczęście. Policja! Bladzi z wyczerpania zaczęli krzyczeć co sił w gardłach. Zuchy z dołu odpowiedziały zgodnem wyciem. Wyciem, w którem obok męki oczekiwania czuć było i nuty tryumfu. Daleko w dole widać już było ludzi w granatowych mundurach.

— Tatusiu, tatusiu — wrzeszczał Jacek. Musicie przyjść tu, na Nosal, bo dołem on i tak nie ucieknie.

— Panie przodowniku, panie przodowniku — rozległ się naraz mocny głos Krzywonosego mężczyzny. Chwała Bogu, że pan przyszedł. Przecież to skaranie boskie z temi małemi łotrami! Co te djablęta ze mną robią?

Długa chwila śmiertelnej ciszy. Jacek zrobił się blady jak kreda i zdało mu się, że słyszy niespokojny oddech ojca, który stoi daleko w dole, pilnie patrząc w kierunku jaskini. Sekunda, druga.. Słyszał lekki szum wiatru.

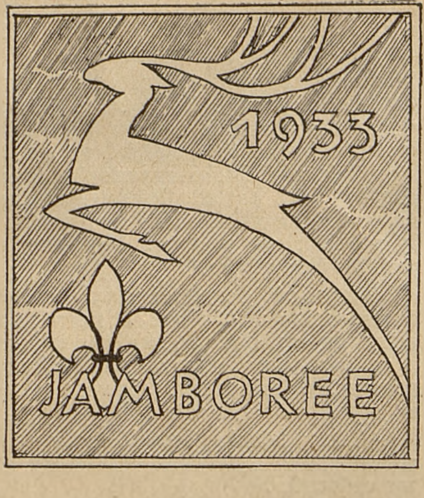
— Bardzo pana przepraszam, panie doktorze — mówi powoli przodownik do Krzywonosego pana. Proszę, panie doktorze wybaczyć tym smykom. Pan doktor jest na swej zwykłej wycieczce w poszukiwaniu minerałów, a chłopcom się zdawało, że to kto inny... Że to pewien szukany przez policję człowiek. W pierwszej chwili nawet sam sądziłem... Fatalna omyłka.

Och czemu nie rozstępuje się ziemia pod nogami Jacka? I czemu Stępka zaczyna się nagle śmiać? Czemu nawet ojciec zamiast gniewu, ma uśmiech na wargach? Nieszczęście, nieszczęście!

*

W dwa dni potem dyżurny posterunkowy notował fonogram z Suchej: „Krzywonosy aresztowany pod Suchą. Odsyłamy do więzienia w Nowym Targu.“

Bambaju.



Jamboree w Gödöllö zbliża się szybkiemi krokami. Przygotowania we wszystkich organizacjach są już daleko posunięte. Widziałem w Głównych Kwaterach organizacyj zagranicznych, które ostatnio odwiedziłem, porozwieszane na ścianach mapy okolic Gödöllö, piękne widoki z Węgier, plany obozu dżemborowego. W Paryżu pracuje specjalne biuro, które już kończy zestwienie pociągów, jakiemi pojedzie na Węgry francuska wyprawa.

O tem, co się dzieje w Budapeszcie, w Głównej Kwaterze Jamboree, „Na Tropie" pisało już kilkakroć. Niedługo wyśle tam specjalnego korespondenta, który przywiezie wam najświeższe stamtąd wieści. „Na Tropie" przygotowuje szereg ciekawych imprez na Jamboree!

Z Budapesztu donoszą nam, że Biuro Międzynarodowe w Londynie otrzymało już niemal od wszystkich organizacyj zgłoszenia z podaniem przybliżonej ilości uczestników. Podobno Anglja wysyła blisko 5.000 chłopców, a Francja 1.500 do 2.000.

Oficjalną odznaką zlotową będzie **„cudowny jeleń"**. Piękną legendę o tem zwierzęciu poda uczestnikom polskiej wyprawy „Na Tropie w Budapeszcie".

Filateliści mogą się zawczasu cieszyć na nową **serję znaczków pocztowych**, które wydaje Ministerstwo Poczt na Węgrzech dla upamiętnienia Jamboree.

Jamboree będzie nosiło silny charakter węgierski, gdyż Węgrzy dążą do tego, aby **stare zwyczaje, tradycje i folklor** ich kraju znalazły jak największe zastosowanie na Jamboree. N. p. dla Baden Powella przygotowuje się specjalny namiot ogromnych rozmiarów, zawierający cały szereg ubikacyj. Jest on ściśle wzorowany na dawnych namiotach książąt, którzy na czele Hunów przed tysiącem lat przywędrowali na węgierską Pusztę. — Na cześć zwycięstwa Jana Hunyadego, który jako wódz armji chrześcijańskich pobił Turków w 1456 r., będą **sygnały obozowe nadawane dzwonami**, których głos rozprzestrzeni się na cały obóz przy pomocy głośników (w nawiasie dodam, że zwyczaj bicia w dzwony w południe na pamiątkę tego zwycięstwa został wprowadzony w całym świecie chrześcijańskim przez ówczesnego Papieża).

Obóz Jamboree podzielony będzie na **10 podobozów**, w każdym będą zarówno drużyny zagraniczne, jak i węgierskie. Każdy obóz będzie stał **pod znakiem jednego z praw harcerskich**, co będzie zobowiązany uwzględnić nie tylko w swem życiu codziennem, ale też w swoich wystąpieniach zewnętrznych, zdobnictwie i t. p.

Jamboree ma w pewnej mierze dać **pogląd na sztukę obozowania** poszczególnych narodów. Ma wobec tego Polska pole do popisu!

Uczestnicy Jamboree będą musieli wziąć udział w licznych bardzo imprezach z rozmaitych dziedzin. **Wystawa** obejmie eksponaty w postaci kompletnych zbiorów wydawnictw i fotografij, modeli urządzeń obozowych, odznak, kompletnego umundurowania harcerza i zastępowego. Polska musi oczywiście bardzo starannie przygotować się do wzięcia udziału w tej wystawie, aby nie zostać w tyle za innymi.

Przewidziane są również wystawy w obrębie poszczególnych obozów.

Będą również wyświetlane **filmy skautowe wszystkich krajów.** W tej dziedzinie nie mamy niestety dużo do pokazania, ale sądzę, że n. p. na taki film z Garczyna i zagranica chętnie popatrzy.

Komendant obozu, Honorowy Skaut Naczelny Węgier hr. Teleky, ofiarował obozowi **kolejkę,** która za minimalną opłatą będzie służyła, jako szybki środek lokomocji między poszczególnemi partjami Jamboree. Po takich podarkach nie dziwota, że hr. Teleky jest ogromnie popularny wśród skautów węgierskich, którzy go nazywają „Wujem Boli".

W ramach poszczególnych obozów będzie można sprzedawać drobne przedmioty, charakterystyczne dla danego kraju. Trzeba zawczasu dobrze przygotować ten dział, aby było lepiej pod tym względem niż było w Anglji.

Trudno wymieniać wszystkie szczegóły tej skomplikowanej machiny, jaką będzie Jamboree. Jak już wynika z tych kilku podanych powyżej uwag, czeka nas ogromna praca, którą musimy wykonać, aby nie znaleźć się w szarym tłumie — niczem dodatnim nie wyróżniwszy się!

Powodzenie naszych wypraw do Arrow Parku i Pragi pozwala przypuszczać, że i wyjazd do Gödöllö będzie nowym i pełnym sukcesem Harcerstwa Polskiego na międzynarodowym terenie.

FELIKS DANGEL.

PRZYGODA GWEEN.

(Dokończenie).

Nie zabił kudu, a ze złości wymordował, nic niewinne i spokojne stworzenia. Kilka małp leżało już spokojnie z wielkiemi ranami od kul wybuchających, niektóre drgały jeszcze w agonji...

W tem za załomem skały posłyszałem pisk jakiś cichutki.

W świetle elektrycznej latarki zobaczyłem dziwną scenę.

Na ręku samiczki pawjana zobaczyłem malutkie małpiątko, wydające przeraźliwe głosy bólu...

Z ramienia ciekła mu krew. Podszedłem bliżej.

Matka wyszczerzyła ku mnie zęby i przybrała wojowniczą pozę...

Maleństwo za każdym jej ruchem skamlało cicho. Widocznie cierpiało bardzo.

Zawołałem pagazich.

Przy pomocy siatki zaprowadziliśmy matkę z małym do namiotu i tam siłą małpie odebrawszy, nałożyłem mu opatrunek. Bojąc się, by mu matka nie zniszczyła opatrunku na noc zabrałem je do swego namiotu.

Jakież jednak było moje zdumienie, gdy nazajutrz starej małpy nie znalazłem w klatce. Wyłamała pręty i uciekła, zostawiając nam swoje małe, które czuło się lepiej, a które nazwałem Gveen. — Spalding ze mną nie rozmawiał, zapowiedziawszy, że złoży na mnie skargę w konsulacie.

Tegoż dnia opuściliśmy wąwóz z małą Gveen umieszczoną wśród bagaży. — Gdy zaś wieczorem rozłożyliśmy namioty, posłyszeliśmy, że nie jesteśmy sami pod wielkiemi gałęziami chlebowca. Ktoś psocił nam ustawicznie, ciskając na dachy namiotów korę i kawałki gałęzi.

Wraz z nami i w ślad za nami ruszyła matka Gveen, wrzaskami dopominając się zwrotu maleństwa.

Nad ranem zaś, solidaryzując się z biedną matką, nadciągnęły za obozem, całe stada pawjanów.

De Merwal zamilkł spoglądając na czerwone w świetle ognia skały...

—Czy to już koniec opowieści?..

— Prawie, że tak. Należy jeszcze to dodać, że gdyśmy nazajutrz poszli w step do pracy, nadbiegli murzyni nasi z wiadomością, że małpy zdemolowały całe obozowisko i że z „białych domów" (namiotów) zostały tylko kije bambusowe. Przynieśli nam jednak z sobą małą Gveen, której nie odbiły pawjany...

I czy wiesz, co zrobił Spalding. Następnego dnia w tajemnicy przedemną zastrzyknął małej Gveen zarazki tyfusu i puścił ją ku stadu.

Małpy chorowały gromadnie i konały dziesiątkami.

Dziś, jak widzisz... niema tu już pawjanów.

Wygubił je Spalding...

Księżyc wypłynął właśnie na step, i głośniej zastrzykały świerszcze afrykańskie. Spojrzałem na szczyty skał, srebrne teraz w świetle miesiąca...

Puste były i niezamieszkałe...

Wyludnił je człowiek.

* * *

Historja małpki Gveen jest autentyczna. Ku poinformowaniu czytelników dodać należy, że małpy nie rozumiejąc skutków strzałów i huku, nietylko nie uciekają, lecz gromadzą się ciekawie i przyglądają morderczym efektom broni.

O krawatach, węzłach i żółtodzióbach.

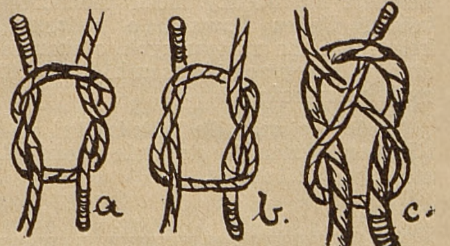
Czy jest błędem prób harcerskich, że zawierają tyle węzłów, dla których tak rzadko znajduje się zastosowanie — czy to może Wasza wina, że nie umiecie z tych węzłów korzystać? Ja tam wcale nie żałuję, że mi swego czasu wsadzono w łeb sztukę wiązania kilku węzłów! Pomijam już to, że węzły mogę sobie wyobrazić, jako piękne **symbole** harcerskich idei **jedności**, harcerskiej zasady **łączenia** całego świata w imię wspólnych haseł. Pomijam korzyści, jakie przynosi nauka wiązania węzłów, dająca **świetną sprawność i zgrabność palcom**, oraz znaczenie tej nauki i licznych ćwiczeń harcerskich z węzłami dla kształcenia **dobrych cech mego charakteru.** Zajmę się jedynie korzyściami czysto **praktycznemi**, które mojem zdaniem wcale nie są do pogardzenia.

Byłbym nawet zdania, że jeszcze za mało węzłów uwzględniono w próbach. Za mało? Czyżby? A tak. Znam instruktorów harcerskich (takich z czerwoną podkładką pod krzyżem), którzy nie umieją zawiązać najprostszej **„kokardki"** (możecie sobie wobrazić, jak wygląda ich wiązanie bucików!) Znana jest także rzecz, że wielu mężczyzn, którzy poczytaliby sobie za ciężką obrazę, gdyby ktoś wyraził się powątpiewająco o ich samodzielności i zaradności — nie potrafią sobie sami wiązać... **krawata!** — To wcale nie jest bujda, mogę Wam podać nazwiska.

Przyjmuję jednak, że wszyscy harcerze znają doskonale oba te najczęściej używane w życiu codziennem węzły. (A możeby napisać Wam artykulik o wiązaniu wszelkich rodzajów krawatów?)

Przystępując do węzłów harcerskich, zacznę oczywiście od **płaskiego** (rys. 1a). Jest to najzwyklejszy węzeł do złączenia dwóch kawałków sznurka lub liny tej samej grubości. Dlaczego właśnie płaski, a nie babski (rys. 1 b)? Bo **węzeł babski** (co się rozumie: do niczego, choć to wcale nie prawda, że co babskie, to do niczego) jest zawodny. Jeśli związany nim sznurek sztywny, czy śliski łatwo może się zdarzyć, że się węzeł rozsunie.

Jeśli masz połączyć linę grubą z cienką, to nic tu po węźle płaskim. Zaraz się rozlezie. Trzeba w takim wypadku użyć **węzła tkackiego** (rys. 1c). Zwie się tak, gdyż go używają tkacze do łączenia grubej osnowy z cienką nicią wzoru.



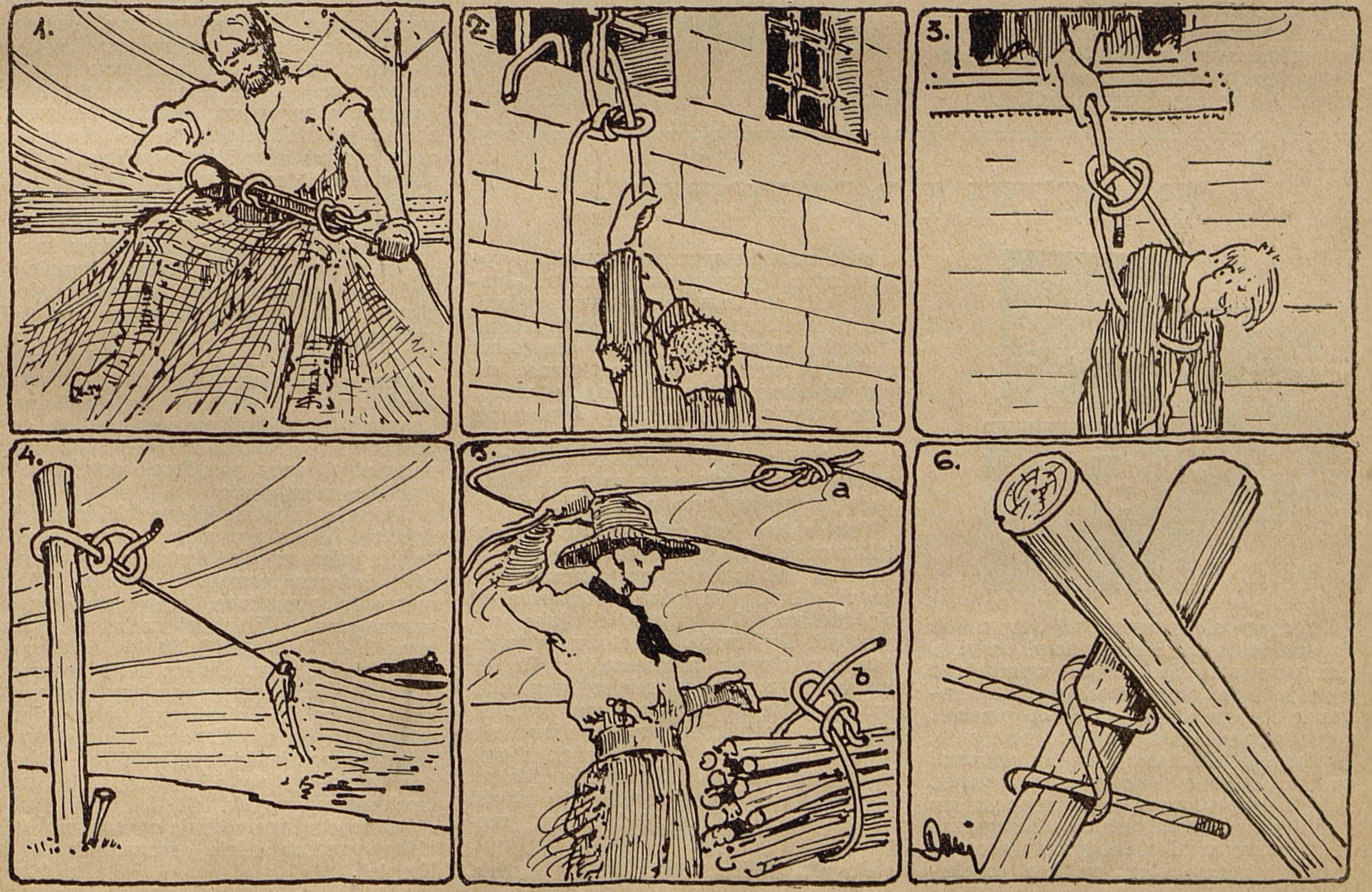
Inne węzły zilustrowane są rysunkami. Można się ich uczyć jak Morse'a obrazkowego. **„Rybackim** (1) łączy się dwa końce sznurka, choćby były nawet bardzo krótkie. Stąd pewnie rybacy używają go do naprawiania sieci.

„Więziennego" (2) używa złodziejaszek, uciekający z aresztu. Wiąże go **w połowie liny**, której oba końce spływają aż do ziemi. Po jednym spuszcza się na dół, poczem za drugi pociąga, aby zabrać linę ze sobą. Biada mu jednak gdyby się pomylił, po której linie ma się spuszczać! Zjechałby wówczas na ziemię z piorunującą szybkością, narażając poważnie całość swych kości.

„Ratowniczy" (3) nosi swą nazwę od tego, że używa się go przy ratowaniu ludzi zemdlonych w płonącym domu, spuszczaniu ludzi z wysokości w górach i t. p. Nazywa się on również **„tatrzańskim skrajnym"**, gdyż używają go wędrujący po górach i ubezpieczeni liną taternicy który znajdują się na skraju, t. zn. na początku lub końcu szeregu.

„Węzłem marynarskim" (4) lub inaczej „pionierskim" przymocowuje się linę do pala. Węzła tego używają marynarze do przywiązywania łodzi i stąd poszła jego nazwa. W konstrukcjach pionierskich używa się tego węzła zwłaszcza wówczas, gdy na linie, przywiązanej do belki ma spoczywać jakiś ciężar. Węzeł ten podwaja się wówczas i luźny koniec liny przywiązuje się sznureczkiem do tej części liny, na której ma spoczywać ciężar.

Pętlę można robić na różne sposoby. Jeśli chodzi o to by pętla mocno się na jakimś przedmiocie zacisnęła i nie troszczymy się o to, jak to będzie później z jej rozluźnieniem, wiążemy zwykłą **pętlę zaciągającą się** (rys. 4 na prawo). Jeśli jednak pętla ma służyć stale, lub nie ma się zaciągnąć przedwcześnie (jak przy lassie) lepiej zrobić najpierw pętlę niezaciągającą się, i przez nią przeciągnąć koniec liny, przez co uzyskamy pętlę kombinowaną, mocniejszą od pierwszej. (Dok. na str. *32*)



Pontus Lönberg
Naczelny Redaktor „Scouten".

Rozmach i organizacja.

(Oryginalna korespond. „Na Tropie".)

Sztokholm, w styczniu 1933.

Rozmach rozwoju i praca organizacyjna, to cechy które muszą się rzucić w oczy każdego, kto przypatrzy się bliżej życiu skautów szwedzkich w ostatnich czasach.

Cały szereg organizacyj skautowych o większem lub mniejszem znaczeniu, a przedewszystkiem obie organizacje, zarejestrowane w Biurze Międzynarodowem połączyły się w ciągu ubiegłego roku w jeden Związek, na którego czele stanął następca tronu, najstarszy syn króla Gustawa Adolfa. — Dzięki temu przyrzeczenie, prawo i próby na stopnie i — co najważniejsze — system szkolenia instruktorów stały się jednolite w całej Szwecji.

W szeregach młodzieży skautowej zaznacza się ogromny pęd do składania prób organizacyjnych i sprawności, co z jednej strony wskazuje na znaczne pogłębienie się pracy, a z drugiej strony na fakt, że obecnie starsi chłopcy wykazują dużo większe zainteresowanie pracą skautową, niż dawniej.

Aby przyczynić się do ulżenia nędzy, Związek przeprowadził na szeroką skalę uruchomioną zbiórkę odzieży dla biednych. Nie było wprost domu w Szwecji, do któregoby nie dotarł zastęp skautowy w okresie tej zbiórki. Rezultatem jej były setki tysięcy pakunków z odzieżą i żywnością, które rozdano następnie potrzebującym.

Obozownictwo rozwija się coraz pomyślniej. Dzięki charakter kraju zaprasza wprost do życia obozowego, nic też dziwnego, że w ostatnim roku 2/3 członków Związku spędziło bodaj parę nocy pod płóciennym dachem (obóz, aby został uznany za taki, musi zawierać przynajmniej 3 noce pod namiotami).

Skauting wodny znajduje się dopiero w początkach, niemniej tam gdzie istnieją już drużyny morskie, cieszą się one wielkiem zainteresowaniem młodzieży.

Liczne wyjazdy zastępów szwedzkich zagranicę, przynoszące długoletnią nieraz korespondencję z skautami innych krajów, musiały być w tym roku ograniczone do odwiedzin Norwegji jedynie i Łotwy.

Sprawy wydawnicze również cieszą się rozwojem. Ostatni rok powiększył 27 tomików licząca bibljoteczkę skautową szwedzką o 6 następnych książek. Znajduje się między niemi tłumaczenie książki Baden Powella o wilczkach, książeczka dla zastępowych, o skautach starszych, o grach i broszurki do niektórych sprawności.

Oprócz pisma dla młodzieży p. t. „Skouten" ukazuje się stale pismo dla starszyzny „Totem".



Morscy skauci Szwecji na ćwiczeniach.

O krawatach, węzłach i żółtodziobach.

(Dokończ. ze str. 31.)

Przy konstrukcji z drzewa łączonej linami zaczyna się zawsze od węzła **„ósemkowego"** (6). Jest on płaski i doskonale przylega do belki, stąd nadaje się bardzo właśnie do takich konstrukcyj. Gdybyśmy jednak chcieli na linie tym węzłem przywiązanej do belki zawiesić ciężar, ryzykowalibyśmy katastrofę! — Bowiem każdy węzeł musi być we właściwem miejscu.

Jeśli nie chcesz być **żółtodziobem** i **delikatną łapką**, musisz umieć radzić sobie z liną. Ale niech Cię Bóg strzeże od uczenia się węzłów na sznureczkach! Wiąż je na linie i to w odpowiednich warunkach. Taki n. p. **węzeł ratowniczy musisz umieć wiązać z zawiązanemi oczami, błyskawicznie** i — oczywiście, na ciele człowieka, a nie w powietrzu! Pamiętaj, że węzłem tym uratować możesz człowieka od śmierci. **Binga.**

ZNACZKI POCZTOWE.



Do czego służy znaczek? Oczywiście do naklejenia na list czy inną posyłkę. Hm, niby słusznie, ale co wyniknie z tego, jeśli nakleję znaczek na list i zostawię list na stole? Nic. A przecież gdy piszemy list to nie idzie nam o to, by list leżał na stole, tylko by otrzymał go ten, do kogo piszemy, czyli adresat. To też praktycznym celem znaczka nie jest tkwić majestatycznie a bezczynnie na liście czy w albumie, tylko pracować. Praca jego zaś polega na tem, że skacze do oczu listonoszowi i wtedy listonosz odnosi posyłkę do adresata. Znaczek jest „znakiem", że nadawca pokrył koszty dostarczenia posyłki adresatowi. Możnaby wprawdzie pokryć ten koszt gotówką przy okienku pocztowem, ale czy wyobrazicie sobie, jakieby wtedy ogony tkwiły na pocztach? A pozatem urzędnik musiałby i tak na posyłce robić jakiś znak, że opłacona; inaczej przemycanoby całe stosy na gapę. Wreszcie: cóżbyśmy wtedy zbierali?

Taki zatem jest cel znaczka. Ale w takim razie, jeśli jest jeden cel, to powinien być też jeden format znaczka, tylko w różnych wartościach zależnie od ciężaru posyłki i odległości, jaką ma przebyć. Być może, że dałoby się to do pewnego stopnia uskutecznić, tylko że byłoby i brzydko i nudnie: wszystkie znaczki takie same! A pozatem tylko do pewnego stopnia bo posyłki różnią się nietylko ciężarem i odległością drogi, jaką mają przebyć. Są i inne różnice, i one to właśnie sprawiają, że różnej posyłce musi odpowiadać różny znaczek.

Posyłki które jeżdżą koleją, autem, okrętem, dryndą są najliczniejsze. One też mają największą ilość znaczków. To są nasze znajome pomarańczowe znaczki po 30 gr na list, szare po 20 gr na kartkę, zielone po 10 gr, ciemno liljowe po 5 gr i tyle innych.

Posyłki dostojniejsze, którym się spieszy i skutkiem tego jeżdżą aeroplanem, mają swoje znaczki. Widzicie tu taki jeden, a jest ich w serji 9 sztuk o tym samym rysunku, a tylko różnej wartości i kolorze: 1 gr niebieski, 2 — pomarańczowy, 3 — jasnobrunatny, 5 —ciemnobronzowy, 10 — niebieskozielony, 15 — jasnoliljowy 20 — oliwkowozielony, 30 — ciemnokarminowy, 45 — szaroliljowy. Serja ta wyszła w roku 1925.

Zdarzy się jednak czasem, że ktoś zapomni nakleić znaczek na list i wrzuci go do skrzynki nieopłacony. Są tacy zapominalscy. Poczta, myślicie, oburzy się? — nie. Poczta to jest porządna instytucja; list jedzie do miejscowości uwidocznionej na adresie i dopiero tam urzędnik nakrywa go: „takiś ty, na gapę chcesz jeździć? niema!" Nakleja znaczek, ale już inny i w podwójnej cenie, niżby opłacił nadawca. Za ten znaczek płaci adresat, a jak nie chce wykupić posyłki, to ta wraca do nadawcy i nieborak musi bulnąć pięć złociszów kary za kręcenie poczcie głowy. Strzeżcie się! Taki znaczek polski ma napis „dopłata", bo najczęściej się zdarza, że posyłka nie jest całkiem nieopłacona, a tylko za mało i wtedy adresat „dopłaca" różnicę. Zagraniczne znaczki takie mają zwykle napis „porto", co jest po łacinie i znaczy „nosze", niby że to płaci się za noszenie, co nie bardzo ma sens bo przecież i przy posyłkach opłaconych płaci się za noszenie.

Widzicie tu jeden taki polski znaczek dopłaty. Wyszły w roku 1919 w wartościach halerzowych i fenigowych, wszystkie jednego formatu i rysunku, halerzowe są granatowe, fenigowe ciemnopomarańczowe. Wartości mają następujące: 2, 4, 5, 10 20, 30, 50, 100, 500 fenigów lub halerzy. Potem było jeszcze kilka różnych seryj znaczków dopłaty, aż te które dziś obowiązują wyszły w roku 1929. Na rysunku jest obecnie kursujący znaczek dopłaty za 5 gr. Wyszedł o rok później od ogólnej serji i ma trochę inny rysunek.

Są jeszcze inne rodzaje znaczków. Kto ciekawy niech pilnie prenumeruje „Na Tropie". **Ex-sk.**

Zimowe rozgrywki.

Jeśli jest sala gimnastyczna, to:

1. Ogłosić w hufcu, drużynie lub zastępie rogrywki indywidualne w siatkówkę. Boisko zmniejszymy do wymiarów 3×3 m, siatkę pozostawimy na zwykłej wysokości, przepisy również pozostaną w zasadzie te same, to znaczy: najwyżej 3 dotknięcia po jednej stronie siatki, serwować z poza kwadratu, nie wolno przetrzymywać itd. Rozgrywki można prowadzić systemem pucharowym, czyli dany gracz musi grać ze wszystkiemi pozostałemi lub systemem finałowym — po przegranej gracz odpada, a zwycięzca gra z następnym. Taka siatkówka trwa kilka tygodni, sprawiając uczestnikom wiele przyjemności i pożytku.

2. Ogłosić w hufcu, drużynie lub zastępie rozgrywki trójkowe w siatkówkę, najlepiej po ukończonych rozgrywkach indywidualnych. Boisko się zwiększa w stosunku 6 m na 5 m, siatka jak zwykle. Gra ta wymaga już dobrego ustawiania się, umożliwia ścinania, uczy ładnie podawać i jest doskonałą zaprawą przed wiosennemi rozgrywkami o mistrzostwo hufca albo zgoła chorągwi. System rozgrywek jak poprzedni, t. zn. albo każdy zespół zmierzy swe siły ze wszystkiemi pozostałemi, albo po pierwszej przegranej odpada. Drugi sposób jest szybszy pierwszy wymaga więcej czasu, lecz napewno jest bardziej harcerski, bo bardziej sprawiedliwy.

3. Jako zaprawę do koszykówki należy uważać następujące ćwiczenia: każdy strzela karne rzuty i jeśli trafi do kosza, ma prawo do następnego rzutu; wygrywa ten, kto pierwszy zdobędzie umówioną ilość koszy; odmiana — strzelanie nie z linji rzutu karnego, lecz z boku, najpierw z prawej strony następnie z lewej. Każdy zastęp wyłania mistrza, który w oznaczonym dniu stawi się w sali do ostatecznych rozgrywek z innymi mistrzami zastępów.

Jeśli niema sali gimnastycznej to:

1. Mistrzostwa ping-pongowe nie są jeszcze znane, wobec tego nie należy zwlekać i odrazu przystąpić do układania listy zawodników, przyczem dobrze jest oprzeć przepisy na jednej z kilkunastu wydanych broszurek. Właśnie ta, którą posiada drużyna jest najlepszą, gdyż umożliwia ujednostajnienie spornych kwestyj. Zwykle najlepszym jest stół w świetlicy, lub u jednego z zapalonych ping-pongistów.

2. Wspaniała gra towarzyska, tem wspanialsza, że przypomina nam morze (podobno wymyślili ją marynarze), nazywa się „Bierki". Grono harcerzy siada sobie w izbie przy stole i ćwiczy się w delikatnym, subtelnym używaniu ruchów rąk, ściślej palców rąk. Mamy tam: jeden harpun, pięć wioseł i 25 bosaków; umiejętne opanowane usunięcie bosaczka daje jeden punkt, takież usunięcie wiosełka daje 5 punktów a wydobycie z ciżby pomieszanych ze sobą bosaczków harpuna daje aż 25 punktów. Gra ta naprawdę doskonale ćwiczy opanowanie nerwów, uczy marynarskiego spokoju i jest niezwykle miłą rozrywką w każdem gronie. Cena około 3 złotych

3. Podpisany bardzo nie lubi yo-yo, więc bynajmniej nie zachęca do tej bezmyślnej zabawy, lecz może się myli więc... **Zwinny Tur.**

Ścienna gazeta sportowa.

Na nic się zdadzą rozgrywki, jeśli nie będzie odpowiedniej reklamy. Reklama to dźwignia postępu. Harcerze napewno należą do grupy ludzi postępowych i dlatego uważają za swój obowiązek reklamować rzeczy dobre i pożyteczne jak naprzykład rozgrywki w trójkową siatkówkę, albo wyniki ping-ponga.

Tablica. Na niej szereg wycinków z czasopism, szereg opisów odbytych spotkań, dokładna punktacja, kalendarzyk rozgrywek (t. zw. terminarz), zdjęcia sportowe a może i inne jakieś zajmujące artykuły sportowe. Przed jednem tylko trzeba przestrzec: przed głupią, nagminną chorobą zwaną sportomanją uważajcie byście w nią nie wpadli. Kropka.

Przegląd wydarzeń sportowych.

— Wkrótce po przybyciu do Sztokholmu, nasi tennisiści rozegrali mecze tennisowe z królem szwedzkim, Gustawem i mistrzem tennisowym Szwecji, Oesterberg'em. Pierwszego seta para: Tłoczyński—Witman przegrała, drugi natomiast był dla nas, w trzecim nastąpiła zmiana partnerów, mianowicie król Gustaw grał z Tłoczyńskim przeciwko Jędrzejowskiej i Wittmanowi, wygrywając w stosunku 6:3.

— Do półfinałów hokejowych mistrzostw Polski doszły następujące drużyny: AZS. Warszawa, Legja Pogoń i AZS. Poznań. Nawet w Krynicy pogoda niezbyt dopisuje, co utrudnia ładną grę hokeistom.

— Najwięcej jednak daje się niepewna pogoda we znaki uczestnikom zimowej Makkabiady w Zakopanem, która zgromadziła żydowskich zawodników z Austrji, Czech, Jugosławji, Norwegji, Rumunji i Polski. Pomimo zmiennych warunków atmosferycznych odbyto szereg konkurencyj, przyczem narciarze polskiej Makkabi zajęli szereg pierwszych miejsc.

— W Przemyślu odbyły się pierwsze zimowe mistrzostwa lekkoatletyczne z udziałem szeregu czołowych zawodników.

— W Przemyślu odbyły się pierwsze bm. hokejowe mistrzostwa Europy. Zgłosiło się dotychczas 11 państw, między innemi Litwa. Polska reprezentacja zostanie wyznaczona po naszych mistrzostwach. **Zwinny Tur.**



Coś o szybownictwie.

W ostatnich dwu latach rozwinęło się silnie u nas szybownictwo, zwane inaczej lotnictwem bezmotorowem. Między szybowcem a samolotem różnica jest ta, że szybowiec nie ma silnika, a budowa jego jest lżejszą i zamiast kół (podwozia) posiada płozę podobną do narty.

Lot na szybowcu polega na wykorzystywaniu powietrznych prądów wznoszących. Prądy takie są zawsze nad zboczami gór. Same loty na szybowcu możemy podzielić na dwie części: na lot ślizgowy i żaglowy. Lot ślizgowy polega na tem, że szybowiec z pewnej wysokości schodzi stopniowo w dół, zaś w locie żaglowym szybowiec, kierowany wprawną ręką pilota, nie schodzi niżej od wysokości, jaką miał na starcie, tylko — albo się na tej wysokości z małą różnicą utrzymuje — albo też wznosi się jeszcze wyżej. Żaglować można kilka i także kilkanaście godzin.

Loty na szybowcu, szczególnie żaglowe, należą do bardzo przyjemnych, z wyjątkiem startu! Szybowiec, chcąc się wznieść, musi mieć początkową szybkość. Szybkość tą otrzymuje przy pomocy liny zwanej amortyzatorem. Sam start odbywa się w ten sposób: do ziemi wbija się palik żelazny, na którym szybowiec zostaje przytrzymany za pomocą linki, przymocowanej do ogona szybowca. W dzióbie szybowca wmontowany jest hak, o który zaczepia się klamrę, do niej zaś przywiązane są dwa amortyzatory. Gumy te naciągane są przez najętych chłopców, zwanych ambasadorami. Naciąga przeciętnie 8—10 ambasadorów, z których połowa ciągnie lewą a połowa drugą linę. Aby obie liny były naciągnięte równo, ambasadory naciągają na rozkaz pilota. Na komendę: „naciągać!" — ciągną linę biegiem aż do jej puszczenia na ziemię. Skoro pilot otrzyma pożądany naciąg lin, wydaje komendę trzymającemu linkę ogonową: „puść". co ten natychmiast wykonywuje. Teraz liny, ogromnie naciągnięte, wypuszczają wolny szybowiec jak kamień z procy.

Szybkość, jaką szybowiec na starcie otrzymuje, jest kolosalna, a wynosi około 10—12, i nawet 14 m/sek. W czasie lotu szybkość ta maleje przez naturalne wzbicie się maszyny wyżej ponad start. **Z. Spila.**

Na Tropie Zuchów

KISZ.

Opowiadanie o dzielnym chłopcu z Północy.

Pisarz amerykański Jack London opowiada, że na dalekiej Północy, w kraju Eskimosów, gdzie panuje wieczna zima, mieszkał wśród plemienia północnych Indjan mały chłopiec Kisz. Kisz był synem naczelnika plemienia, który zginął w czasie łowów. I chociaż Kisz był tylko malcem, opiekował się chorą matką i bardzo cierpiał, że matka jego po każdem polowaniu dostaje od plemienia najgorsze części zwierzyny.

Raz przyszedł Kisz na Radę Starszych i począł domagać się, aby matce przydzielano większe i lepsze kawałki mięsa. „Masz mleko pod nosem i chcesz nas uczyć?" — ofuknął Kisza naczelnik plemienia i wypędził z izby. „Poczekajcie! — zawołał chłopiec, zaciskając pięści — jeszcze będziecie mnie prosić, żebym tu przyszedł".

Następnego ranka zniknął Kisz z wioski i nie było go dwa dni. Wszyscy okropnie się niepokoili, gdyż był to okres strasznych mrozów i dookoła wioski krążyły krwiożercze białe niedźwiedzie. Matka Kisza cały czas wyglądała zaniepokojona na drogę. Można więc sobie wyobrazić jej radość i zadowolenie wszystkich kobiet plemienia, gdy drugiego dnia wieczorem Kisz wrócił. Wrócił zaśnieżony, przemarzły i... z upolowanym niedźwiedziem na sankach. Pół wioski zbiegło się, by z wytrzeszczonemi oczyma patrzeć na małego chłopca, który upolował najstraszniejsze zwierzę północy.

Gdy mięso zabitego przez Kisza niedźwiedzia zostało zjedzone — chłopiec zniknął znowu, a wróciwszy po paru dniach oznajmił mężczyznom: „Zabiłem niedźwiedzicę i dwoje małych, ale nie miałem sił ich przywieźć. Leżą koło zatoczki Trzech Gwiazd. Przywieźcie, a dostaniecie część mięsa". Wiadomo, jakiem szaleństwem jest polowanie na dziedźwiedzicę, mającą małe. Nawet najtęższi myśliwi unikają tego. To też żaden z mężczyzn nie uwierzył Kiszowi. Ale gdy matka chłopca poszła nad zatoczkę Trzech Gwiazd i wróciwszy zdyszana, oznajmiła, że na własne oczy widziała upolowaną niedźwiedzicę z małemi — całe plemię pobiegło przyjrzeć się niewiarygodnym myśliwskim łupom malca.

Od tego czasu Kisz co pewien czas znikał w zaśnieżonej tundrze i zawsze wracał z obfitym łupem. Mięsa mieli teraz z matką tak dużo, że sobie zostawiali tylko najsmaczniejsze kąski: łapy, ozory i szynki — a resztę Kisz rozdawał między najbiedniejszych mieszkańców wioski. Mężczyźni zaczęli traktować go jak dorosłego, podawali rękę i stale chcieli towarzyszyć mu na polowaniach. Chłopiec jednak zawsze odmawiał i polował sam.

Aż razu jednego, po dłuższej naradzie, zaproszono Kisza na Radę Starszych. Z błyskiem zadowolenia wchodził Kisz tam, skąd go niedawno wypędzono i z powagą dorosłego kucnął przy ognisku.

— Jakiemi czarami dokazujesz takich zwycięstw łowieckich — spytał naczelnik. Kisz długo wahał się z odpowiedzią, a wreszcie rzekł:

— To nie czary, a rozum pomaga mi w łowach. Zawsze przed polowaniem wykraję z zębów wieloryba, których mamy sporo w domu, ostro zakończone z obu stron pałeczki. Są one ostre, jak noże, ale wyginają się łatwo [1] i można z nich zrobić krążek. Taki krążek wkładam do kawałka wydrążonego lodu, lód gęsto zalewam tłuszczem i id- szukać niedźwiedzia. Gdy znajdę — rzucam mu te kluski, aż zje. Lód w żołądku topnieje, sprężysty kolec z zęba wieloryba prostuje się i przebija żołądek niedźwiedzia. Niedźwiedź jest mój — oto wszystko.

Kisz skończył. Długie milczenie przerwał wreszcie szaman - kapłan i gdy starcy kiwali oszołomionemi głowami, powiedział:

— Kiszu, dziwny chłopcze! Jesteś synem wodza, a rozum twój i dzielność są rozumem i dzielnością wodza. Czy zechciałbyś nauczyć nas swej sztuczki i prowadzić naszych myśliwych na łowy?

Kisz zgodził się. Od tego czasu wszyscy ludzie północy polują na niedźwiedzie sposobem Kisza, a Kisz jest najsławniejszym naczelnikiem pod biegunem.

Bambaju.

[1]) Znacie fiszbin? Fiszbin jest też z zębów wieloryba.

Zuchy na wycieczce w zimie.

Wioska Eskimosów.

Zuchy-Eskimosi ruszają za miasto, by założyć osiedle. Skoro wybiorą odpowiedni punkt, budują ze śniegu małą kopulastą chatę, rozpalają ognisko i ruszają szukać tropów zwierzyny (prawdziwej zwierzyny; Zajęcy psów-wilków, krów-renów etc.; ślady trzeba nauczyć się rozpoznawać). Gdyby na wycieczkę poszło więcej zuchów, należy zbudować 2—3 chatki, rozpalić parę ognisk etc.

K.

Zuchowe matki.

Niedawno pisaliśmy o matkach lubelskich zuchów, które dzielą ze swoimi chłopcami zuchowe radości i troski, a teraz dowiadujemy się rzeczy ciekawych o matkach zuchów Hrubieszowskich. Matki te zorganizowały się w Koło Przyjaciół. Dziwne to jednak Koło. Nie chce mieć regulaminów, statutów, walnych zebrań — a odrazu zabrało się do pomagania niezamożnym zuchom, zuchom których ojcowie nie mają pracy. Więc myślą o ubraniach i rękawiczkach, kupiły trochę czapek i pięknych krawatów, szykują smaczną „herbatkę" i mają jeszcze wiele innych projektów. Na herbatce tej zuchy, ze swoimi wodzami Wróblewskim i Janiszewskim na czele, złożą obietnicę zuchową.

B.

Ofensywa!

1. **Kursy, kursy...** Powodzenie ofensywy zuchowej zależy przedewszystkiem od przeszkolenia możliwie największej liczby kandydatów na wodzów. To też od września odbywa się w Polsce na licznych kursach, nieustanne szkolenie przyszłych instruktorów zuchowych. Dwa tygodnie świąteczne pobiły jednak rekord w ilości zorganizowanych kursów.

A więc w Sosnowcu odbyła się czterodniowa, ogólnopolska Konferencja Zuchowa (22 uczestników); konferencja ta zasłużyła sobie sprawiedliwie na nazwę „najweselszej"; prowadził ją hm. Stanisław Mościcki, kierownik Wydziału Zuchów GKM. We Włocławku siedmiodniowy kurs dla nauczycielstwa trzech powiatów zorganizował niezmordowany dh. porucznik J. Koziński, przy pomocy instruktora zuchowego J. Polaka (30 uczestników). W Sandomierzu kurs dla 29 uczestników (w tem 20 nauczycieli) poprowadzili instruktorzy zuchowi dh. Kozikowski-Boa i dh. Z. Lang, (ten ostatni — z resztami gorączki, po zakończonej w przeddzień kursu grypie). Druh Adamski Leon — instruktor zuchowy — przeszkolił na kursie w Toruniu 28 uczestników (15 nauczycieli); przyjemnie jest stwierdzić, że na kursie tym zgłosił czynny akces do pracy zuchowej jeden z najstarszych harcmistrzów polskich — dh. J. Kowalski. Ale rekord ruchliwości osiągnął instruktor zuchowy dh. Datoń-Gandhi, który zorganizował i poprowadził aż 3 kursy zuchowe: w Dąbrowie Górniczej (19 uczestników), w Myszkowie (14 ucz.) i w Częstochowie (7 ucz.). Niżejpodpisany zaś, by nie zostać w tyle, uzupełniał sprawami zuchowemi podharcmistrzowski kurs poznański w Zakopanem.

2. **Siedemdziesięcioletni wódz.** Jedną z gromad w Chorągwi Krakowskiej założył 70-cioletni pan, który tak pokochał zuchów, że złożył przyrzeczenie harcerskie i wstąpił do ZHP. Inną gromadę — w Łodzi — założył lekarz.

3. **Robotnicy — wodzami.** W Zagłębiu Dąbrowskiem zorganizowali pięć gromad robotnicy. Robotnicy ci mają ambicję wzorowego poprowadzenia pracy zuchowej.

4. **Gromady wiejskie.** Na Pomorzu ofensywa zuchowa ogarnęła wieś. Powstało tam 28 gromad wiejskich.

5. **Dwadzieścia nowych gromad** powstało ostatniego miesiąca w Chorągwi Poznańskiej.

Ruch zuchowy, ze sztandarami ofensywy, powiewającemi nad całą Polską, kroczy do zwycięskich czterdziestu tysiecy.

A. Kamiński.



Rozmowa w Berlinie.

(Wywiad z komisarzem Międzynarodowym „Deutscher Pfadfinderverband".)

„W Niemczech istnieją dziesiątki organizacyj skautowych, które nie są uznane przez Międzynarodowe Biuro Skautowe w Londynie, gdyż prowadzą pracę w duchu bojowych organizacyj niemieckich, dążących do rewizji traktatu wersalskiego". — Oto wszystko, co o skautach niemieckich potrafi powiedzieć w Polsce chłopak, ba — nawet instruktor.

Chodzą tymczasem słuchy, że organizacje niemieckie mają być w najbliższej przyszłości zarejestrowane w Biurze, że mają wziąść udział w Jamboree na Węgrzech. Odłożywszy więc na bok wszelkie, dzielące nas sprawy polityczne postanowiłem na własne oczy przekonać się, jak sprawy stoją. Korzystając więc z przejazdu przez Berlin, zadzwoniłem do p. Eberharda Plewego, komisarza międzynarodowego skautów niemieckich, prosząc go o rozmowę.

Po krótkiej wymianie wspomnień ze wspólnego pobytu na zlocie łotewskim w r. 1928, oraz z Konferencji Międzynarodowej w Baden, przystąpiłem do pytań.

— **Jakich organizacyj jest pan właściwie przedstawicielem?**

— Stoję na czele t. zw. Biura zagranicznego i międzyzwiązkowego federacji skautów niemieckich (Auslands- und Inlandsamt Deutscher Pfadfinderverband) — odpowiada mi p. Plewe. Z chwilą zniesienia okupacji Ruhry wiele związków skutowych niemieckich zadecydowało wystąpić w odpowiedniej chwili z prośbą o zarejestrowanie w Biurze Międzynarodowem. W tym celu blisko 20 organizacyj utworzyło w roku 1928 federację, tworząc rodzaj biura, łączącego wspólne interesy. Działaniu tego biura trzeba w dużej mierze przypisać, że organizacje te zaczęły się łączyć między sobą, tak że dziś istnieją już tylko 4, a to Deutscher Pfadfinderbund, Reichschaft Deutscher Pfadfinder, Bund Deutscher Kolonialpfandfinder wreszcie Pfandfinderschaft. Reprezentują one blisko 25 tys. młodzieży.

— **Czy ta federacja skautowych związków niemieckich stara się obecnie o zarejestrowanie w Biurze Międzynarodowem w Londynie?**

— Trudno na to wprost odpowiedzieć. Sądzę, że byłoby to z obustronną korzyścią, ale wszelkie dotychczasowe próby spełzły na niczem, a oficjalnej prośby nigdy dotąd nie wnosiliśmy jeszcze. Najpierw z ramienia Biura Międzynarodowego przeprowadzał konferencje na ten temat przewodniczący skautów Szwajcarji, Bonstetten. Po nim podjął się tej misji dr. Lukas, zastępca dyrektora Martina. On to doprowadził do konferencji w Hamburgu, która wprawdzie nie przyniosła zamierzonego celu, ale umożliwiła nam przynajmniej wzięcie udziału w Jamboree w r. 1929. Wreszcie po Jamboree sprawą tą zajął się naczelny skaut Węgier, hr. Teleky częsty u nas gość. Bardzo możliwe jednak, że już bliski jest dzień uznania nas za organizację Badenpowellowską.

Tak powiedział mi p. Plewe. Od siebie muszę dodać, że nie jestem tego samego zdania. Przedewszystkiem odniosłem wrażenie, że sami Niemcy nie wniosą prośby o przyjęcie do Biura, póki nie będą go pewni. Powtóre zaś sądzą, że znajdą się wśród przedst. świata skautowego zdecydowani przeciwnicy przyjęcia Deutscherverband do Biura, nie ze względu na sam fakt, że to organizacja niemiecka ale na fakt, że praca tego związku odbiega daleko jeszcze od zasad Baden Powella.



Skauci niemieccy. W kole E. Plewe.

— **A jak przedstawia się ideologja związków reprezentowanych przez pana? — pytam dalej.**

— Opiera się ściśle na wskazaniach Baden Powella. Przyrzeczenie jest jedno dla wszystkich 4-ch organizacyj i zawiera przyjęcie na siebie obowiązku służby Bogu, Ojczyźnie, bliźnim i prawu skautowemu. Praw jest 10 i również są one wzorowane na angielskich.

— **Czy praca skautów niemieckich również trzyma się ściśle angielskiego wzoru?**

— To zależy. Mamy już poważne, własne tradycje, np. Reichschaft Deutscher Pfadfinder różni się znacznie jeśli chodzi o podział pod względem wieku. Wilczki — to chłopcy do lat 14-tu, młode wilki są w wieku między 14 a 19 lat, wilki mają powyżej 19 lat, a stare wilki to już weterani pracy skautowej. Poza tem u nas pracuje się prawie zawsze gromadą. System zastępowy nie przyjął się u nas. Natomiast życie na łonie przyrody jest najbardziej zasadniczą podstawą naszej pracy.

— **Czy związki niesfederowane w Deutscherpfadfinderverband są liczne?**

— Jest ich wiele, ale przeważnie są to organizacje liczące ledwie po kilkudziesięciu członków. Do silniejszych należą skauci republikańscy, skauci św. Jerzego (katoliccy) i skauci-protestanci.

Wymieniliśmy jeszcze kilka zdań z p. Plewem i pożegnaliśmy się. Oczywiście, że rozmowa nasza nie wyczerpała tematu, że jedna rozmowa nie mogła mi dać poglądu na całość spraw skautingu w Niemczech. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że właśnie te na końcu wymienione związki są bardziej zbliżone do prawdziwie skautowych organizacyj, niż Deutscher Pfadfinderverband, który na łamach niektórych swych organów wypowiada idee niebardzo z duchem skautowym zgodne.

Dalecy od wszelkiej nienawiści musimy śledzić pilnie rozwój młodzieży niemieckiej. Jeśli to będzie możliwe — nie my będziemy stawiać przeszkody przy budowie mostu wzajemnego porozumienia. Ale narazie między nami a nimi wciąż jeszcze toczy swe głębokie nurty groźna rzeka chęci odwetu zrodzona z zupełnej nieznajomości istotnego stanu rzeczy nad Wisłą.

Henryk Kapiszewski.

REDAKTOR MA GŁOS.

Druhu Pawlaku z Rawicza. Wzruszyliśmy się w Redakcji Waszym listem, w którym troszczycie się, że mamy kłopoty z konkursami. List przesyłamy redaktorowi działu zuchów. Schemat aparatu telefonicznego przesyłamy.

Giszowiacy — jaka szkoda, że nie zawiadomiliście nas o tem, że będziecie mówić i śpiewać do radja. Bylibyśmy słuchali! Na przyszły raz dajcie nam znać, kiedy będziecie w Radjo i złóżcie Cioci Heli serdeczne pozdrowienia od czytelników „Na Tropie".

P. Przewodniczący K. P. H. w Olzie — niestety będziemy musieli skrócić. Musimy uwzględnić wszystkich, którzy przysyłają nam kronikę a miejsce mamy tak ograniczone, że każdemu poświęcić możemy jedynie kilkanaście linijek.

Druh Franciszek R., Nowy Bytom — cieszymy się, że się Wam „Na Tropie" podoba. Może nam napiszecie coś o harcerzach z Nowego Bytomia?

Druh Kapszuk z Krzemieńca może do nas zawsze nadsyłać wiadomości z życia harcerzy do działu „Na harcerskim szlaku". Najlepiej podobają się nam takie opisy zbiórek, gier, czy przedsięwzięć któreby mogły być dla innych przykładem pracy. Możecie również przesyłać fotografje, byle były wyraźne. Liczymy, że nam Druh coś wnet nadeszle!

28-mej Zagłębiowskiej D. H. — dziękujem serdecznie za życzenia i miłe podpisy drużynowego i wszystkich zastępowych.

Dh. Kisz z Czechosłowacji — dziękujemy za wieści. Możecie zawsze przesyłać notatki i fotografje z życia drużyny do „Na harcerskim szlaku".

Sztuczkę harcerską J. Brauna pt. „Na słonecznej drodze", która jest zupełnie wyczerpana pragnie wypożyczyć drużyna harcerzy w Goduli. Za zwrot drużyna ręczy słowem harcerskiem.

Kto spełni prośbę Godulaków? — Adres dh. Tadeusz Apollo, Godula Śląsk.

Czarny Orzeł — niezłe, choć styl prostszy robiłby większe wrażenie. Zachowamy w teczce do przyszłego Bożego Narodzenia. Niestety w lutym nie możemy już pisać o gwiazdce. Trzeba pamiętać, że treść numeru układa się na wiele tygodni naprzód i dla spóźnionych i niespodziewanych artykułów mimo najlepszych chęci nie możemy znaleźć miejsca.

Druhu J. Kr. z Krakowa. Miejcie litość nad Redakcją. Gdybyśmy chcieli zadośćuczynić Waszej prośbie, musielibyśmy na ten cel poświęcić pół numeru „Na Tropie". Przyjedźcie na 2 godziny do Katowic, a udzielimy Wam żądanych informacyj i dostarczymy moc różnych materjałów. O ewent. przyjeździe uprzedźcie 2 dni naprzód.

KUPUJCIE
SIĄŻKI

Prenumerata „Na Tropie“: z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 groszy. Cena numeru 40 groszy. Prenumerata roczna łącznie z dod. „Zastępowy“ 7 zł. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“. Konto w PKO. Katowice Nr. 305.330.

W skład Komitetu Redakcyjnego wchodzą: O. Grzbielowa M. Kapiszewska, Z. Tworkowska, J. Wierzbiańska, W. Bublewski, J. Grzbiela, H. Kapiszewski, St. Kapiszewski, M. Wierzbiański, O. Żawrocki. — „Na Tropie Zuchów“ redagują: dział żeński J. Zwolakowska, dział męski A. Kamiński. Ilustrację na wstępnej stronie rys. W. Domiszewski.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski. Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o. Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.